

Ja, czyli Nikt

AUTOR: HENRYK MAZURKIEWICZ

Po dwudziestu trzech latach od powstania powieści Paweł Passini wraca do *Panny Nikt* Tomka Tryzny, wystawiając spektakl o tym, jaką cenę płacimy za prawo i przywilej bycia sobą.

■ Kiedy uwięzionego w pieczarze Odyseusza zacznie brać na spytki cyklop Polifem, sprytny Grek odpowie, że ma na imię Nikt. Cóż po zostanie synowi Posejdona, któremu król Itaki następnego dnia wypali jedyne oko? Tylko krzyczeń, szalejąc z rozpacz i bólu, że zrobił to Nikt. Dobrze znamy tę historię, mającą być przykładem ludzkiej przebiegłości w obliczu niespodziewanych wyzwań losu. Nie zawsze zaś pamiętamy o tym, iż nieszczęsnemu cyklopowi, mimo wszystko, udało się wyłagać u ojca krwawą zemstę dla krzywdziciela. Odyseusz straci wszystkich swoich wiernych towarzyszy i wróci do domu w zupełnej nędzy. Dlatego ta opowieść ma drugi, mniej oczywisty morał. Głosi on, że chociaż niekiedy tylko wyrzeczenie się własnego imienia może uratować życie, bezpieczniej igrać jest z ogniem niż z własną tożsamością.

Nie bez znaczenia pozostaje również fakt, że w czasach, gdy Homer za pomocą śpiewanego heksametru opowiadał o przygodach Odyseusza, na całej planecie mieszkańców było niewiele więcej niż obecnie w Polsce. Z pewnością więc demotywator bezapelacyjnie stwierdzający: „Cokolwiek robisz naprawdę dobrze, zaraz znajdzie się siedmioletni Chińczyk, który robi to siedem razy lepiej”, byłby dla starożytnych Greków kompletnie obcy i niezrozumiały. Wcale nie dlatego, że Państwo Środka jeszcze nie było odkryte i opisane, sam zaś środek świata, tzw. *omfalos*, znajdował się w świątyni Apollina w Delfach, a na Internet trzeba było zaczekać ponad dwa i pół tysiąca lat. Po prostu nie wyczuwali tej presji. Nie mieszkali w świecie, gdzie ludzi liczy się na miliardy. Takimi liczbami, jak się wydaje, nie zaprzętały sobie głowy nawet pokręceni na ich punkcie pitagorejczycy. Wnikliwie, nie bez ironii i goryczy, mając przed oczyma prawie trzymi-

lionowe Buenos Aires, rozważał o tym w swym *Dzienniku Gombrowicz*. Lecz dla nas, żyjących w epoce przyspieszenia i neurotycznego pstrykania selfie, nie tylko przyszłość nie jest już taka jak kiedyś. Samo bycie kimś, w świecie memów i awatarów, stało się czymś innym niż niegdyś.

Ale skończmy z socjologią i statystyką i przejdźmy do nauk mniej ścisłych, ale nie mniej ważnych. Bowiem i Paweł Passini najciekawszy jest właśnie wtedy, gdy sięga po Jungowską psychologię, fenomenologię stanów skrajnych, mistykę snów i owe „historie o cyklopach”, a nie po diagnozy społeczne. I jak to nie raz już było, pomaga mu w tym Artur Pałyga. Reorganizując tekst Tryzny, dystansuje się on zarówno od późnopeerelowskich realiów, jak i od topografii Wałbrzycha. Wykreśla, tnie, miesza i montuje kolejne fragmenty, zostając przy tym zadziwiająco blisko oryginału.

Duża Scena **Wrocławskiego Teatru Współczesnego** jest cała w pęknięciach i szczelinach. Wydaje się, że za chwilę rozpadnie się na poszczególne kawałki, na wielkie dryfujące góry szarego cementu. Wygląda to tak, jakby z góry spadł tytan (Polifem?) nieludzkich rozmiarów, pozostawiając na pochyłej platformie olbrzymią dziurę-krater. Panuje tu ogólne przechylenie, skrzywienie i załamywanie się. To, co równe i symetryczne, wygląda jakoś „wewnętrznie” krzywo. Nawet czas w spektaklu nie chce, jak zwykle, bieć po linii prostej. Robi pętle i tka pajęczyny. Może dlatego innym ważnym elementem scenografii są liczne siatki. Wertując książkę po obejrzeniu spektaklu, odnalazłem fragment opisujący jeden ze snów głównej bohaterki: „Wreszcie jakoś te oczy otwieram, a wszystko w pokoju stoi krzywo. Patrę, patrę... i co widzę? A to, że nie wszyst-

ko jest krzywe, że tylko ja wiszę w powietrzu ukośnie przechylona”. Bardzo chciałbym wierzyć, że podobne drobnostki inspirowały Passiniego i scenografkę Zuzannę Srebrną.

Tytułową Panną Nikt jest Marysia Kawczak (Katarzyna Pietruska) z wielodzietnej rodziny szeregowego górnika. Poznajemy ją jako wstydliwą, niepewną siebie, pobożną i, pod wieloma względami, bardzo jeszcze dziecinną piętnastolatkę. W ciągu trzech godzin spektaklu zdąży zmienić się nie do poznania. A wszystko to za sprawą dwóch nowych przyjaźni. Najpierw spotyka ubraną jak cyganka Kasię (Aleksandra Karpiuk), która żyje komponowaniem, ma dobrze zarabiającą matkę – lekarzkę i ojca, Francuza mieszkającego w Afryce. Jest odważna i dziarska, śmiało zadziera z nauczycielami w szkole i nie daje „łapówek” Bogu. Nie chodzi do kościoła i nie „odbębnia” różańca. „Bo to wolność jest tą modlitwą, która przynosi Bogu największą radość. Módl się do Niego swoją wolnością” – naucza wchłaniającą każde słowo Marysię, którą nazywa Minką. Za pomocą spowiedzi-melorecytacji Kasia wyznaje swoją główną tajemnicę i swój główny grzech. Od jakiegoś czasu zadaje się z tajemniczym Dżigim, który zagnieździł się w jej cieple i trzyma „klucze od świata muzyki”. Pożera ją od środka, a może już ją zjadł.

Przedstawienie, jak książka, podzielone zostało na dwie części. Pierwsza z nich kończy się pożegnaniem Marysi-Minki z Bogiem, który, jak się okazuje, „jest dobry tylko dla niektórych”. Córka, która tylko udawała grzeczną dziewczynkę, odchodzi od Ojca Niebieskiego. „To nie jest przecież nasza córka, tylko jakaś obca dziewczucha” – powie za chwilę jej ziemska matka. I rzeczywiście, Katarzyna Pietruska w trakcie piętnastu minut przerwy jak gdyby zestarzała się o dwadzieścia lat. Być mo-